



Koniec miodowego miesiąca, czyli glosa do debaty o tożsamości europejskiej

Dr hab. Wawrzyniec Konarski

„Miesiąc miodowy się skończył ...” Takie słowa usłyszałem w listopadzie 1990 r. z ust ambasadora jednego z państw należących wówczas do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG), a wkrótce potem do Unii Europejskiej (UE). Była to syntetyczna odpowiedź na moje pytanie o dalszą życzliwość bogatego Zachodu Europy wobec szansy zbudowania wspólnej tożsamości Starego Kontynentu, ale już z udziałem młodych demokracji - efektów ‘Jesieni Narodów’. Nie tyle zaskoczyła mnie ta opinia, ile to, że została wypowiedziana zaledwie w rok po obaleniu berlińskiego muru. Po latach oceniam ją jako rozbrajająco szczerą. Jeszcze raz bowiem pokazała podstawową różnicę w sposobie prowadzenia debaty na temat likwidacji skutków zimnej wojny przez tych, którzy kierują się przede wszystkim kryterium ceny, jaką – dosłownie – trzeba zapłacić za ich przewyższenie oraz tych, którzy wierzą w to, iż siła sprawcza wewnątrz europejskiej solidarności w dążeniu do tego celu okaże się ważniejsza od prozaicznego rachunku zysków i strat. Wynikający stąd, umowny podział na Europę Zachodnią, kierującą się politycznym realizmem i Wschodnią (lub Środkowo-Wschodnią) - romantyczną trafnie potwierdza Urs Altermatt wspominając o ‘zachodnioeuropejskiej hipokryzji w stosunku do naszych wschodnioeuropejskich towarzyszy losu’.¹ W konsekwencji, tożsamość europejska wydaje się być kategorią wewnątrznie *podzieloną*, nie zaś *jednolitą*. Niezależnie bowiem od tego, iż choć tożsamość jest nie tyle bytem, ile procesem – jej cechy podlegają przecież ciągłym modyfikacjom - to jednak debata o niej ma stale ten sam punkt wyjścia. Jest nim chęć członków jakiejś zbiorowości, zamieszkującej dane terytorium, ku wzajemnemu poznaniu się połączona z ich gotowością ku modyfikacji własnych przekonań i poglądów po to, by mógł się dokonać proces wzajemnej internalizacji właściwych im cech. Europa w ujęciu geograficzno-przestrzennym, czyli jako obszar rozciągający się od Półwyspu Iberyjskiego po Ural nie potwierdza zachodzenia tego procesu. Dlatego też słusznie, ale i chyba uczciwie jest mówić o *tożsamościach europejskich*, a nie o jednej tożsamości.²

Najczęściej pojawia się tu wątek podziału z czasów zimnej wojny na dwie Europy: Zachodnią i Wschodnią. Osobiście uważam jednak, iż podział ten istniał już wcześniej, bo od czasów konfliktu Europy chrześcijańskiej z Imperium Osmańskim, choć nie miał wówczas charakteru konfrontacji ideologicznej. Winą okresu zimnowojennego stała się natomiast jego petryfikacja na niespotykaną wcześniej skalę. Służebna względem Zachodu rola przedmurza chrześcijaństwa, pełniona przez narody zamieszkujące wschodnią część Starego Kontynentu, zwłaszcza Polskę, już wtedy sprzyjała egoizmowi, ale i mentalnemu lenistwu mieszkańców tegoż Zachodu. Objawiało się to u nich rosnącym brakiem zainteresowania losem Europejczyków ze Wschodu kontynentu, a w konsekwencji zwiększało pole niewiedzy na temat tych ostatnich. W rezultacie w ramach obu tych regionów kształtowały się dwie główne tożsamości europejskie, choć pojawiały się też warianty subregionalne tych tożsamości, jak choćby na Bałkanach z jednej strony czy w Skandynawii z drugiej.

Te ostatnie uwagi nie mogą wszakże zanegować faktu, iż w obecnej debacie z udziałem naukowców, publicystów i polityków częściej przewija się wątek jednej tożsamości europejskiej.³ Sama debata świadczy o swoistej modzie, wynikającej z próby naginania rzeczywistości do wyobrażeń tych dyskutantów, którzy optują za jedną tożsamością europejską, rzadziej przez tych, przeciwnych takiemu pogładowi. I pewnie dlatego stwarza wrażenie jałowości co do jej rezultatów. Nie ma bowiem szansy na modus vivendi tam, gdzie entuzjaści upierają się przy swoich poglądach równie silnie, jak sceptycy. Każdy fechtunek na słowa zmusza jednak prowadzące go strony do wysiłku. To zaś staje się godne uwagi, skłania bowiem do myślenia.

¹ Cyt. za: U. Altermatt, *Sarajewo przestrzega: Etnonacjonalizm w Europie*, Kraków 1998, s. 25.

² Por.: J. Mucha, W. Olszewski (red.), *Dylematy tożsamości europejskich pod koniec drugiego tysiąclecia*, Toruń 1997.

³ Por.: ibidem; G. Delanty, *Odkrywanie Europy: Idea, tożsamość, rzeczywistość*, Warszawa – Kraków 1999; M. Dobroczyński, J. Stefanowicz, *Tożsamość Europy*, Warszawa 1979; J.M. Domenach, *Europa: Wyzwanie dla kultury*, Warszawa 1992; T. Judt, *Wielkie złudzenie? Esej o Europie*, Warszawa – Kraków 1997.



Niniejsze uwagi posiadają charakter przyczynkarski i nie mają ambicji rozstrzygnięcia prowadzonych sporów. Stwarzają jednak niżej podpisanemu komfort swobodnego zademonstrowania swoich poglądów, a przez to włączenia się do powyższej debaty.

To zrozumiałe, że pozytywny stosunek do istnienia jednej tożsamości europejskiej prezentują ci politycy, których charakteryzuje optymistyczne nastawienie do procesu integracji europejskiej. Ale tu właśnie pojawia się słabość takiego rozumowania. Zasadne bowiem staje się pytanie o to, czy tożsamość europejska jest tym samym, co tożsamość Unii Europejskiej. Nie wdając się w głębsze rozważania na temat obu pojęć należy je potraktować rozdzielnie. To drugie dotyczy terytorium mniejszego niż Europa rozumiana w wyżej wzmiankowanym ujęciu geograficzno-przestrzennym. Potrzeba ukształtowania tożsamości UE wynika też z wyobrażeń ideologów Unii na temat przyszłości tego, formalnie jednolitego, bytu polityczno-gospodarczego (ale przecież nie kulturowego). Jest więc swoistym modelem lansowanym ogólnie, którego pozytywny odbiór społeczny uzależniony jest summa summarum od szansy utrzymania dobrobytu materialnego obywateli tej struktury, nie zaś od przekonania, że tak trzeba w imię racji wyższych, np. wspomnianej już wewnątrz europejskiej solidarności. Nie jest to zarzut – w końcu większość z nas to mentalni i materialni sybaryci – ile stwierdzenie faktu. Ale faktu pozwalającego uznać, iż tworzonej tożsamości UE nie można zrównać z tożsamością europejską, cokolwiek miałyby to znaczyć. Warto w tym miejscu zauważyć, iż Unia Europejska to twór realizowany na kanwie modelu tworzenia państw narodowych w Europie Zachodniej, poczynając od przełomu wieków: XV i XVI. W takim modelu szczególną rangę przypisuje się wspólnym prawom przysługującym mieszkańcom określonego terytorium, a nie ich etniczemu powinowactwu.⁴

Ujmując problem intuicyjnie, a zarazem matematycznie i przestrzennie tożsamość UE wydaje się być podzbiorem tożsamości europejskiej. Ale czy z kolei proces kształtowania tej ostatniej uległ kiedykolwiek zakończeniu? Obserwacja historycznych zawirowań kontynentu europejskiego zmusza do odpowiedzi na 'nie', przy czym taka właśnie odpowiedź nie stanowi tu szczególnego zaskoczenia. Kształtowanie różnych poziomów tożsamości widocznej u mieszkańców Europy (a także i poza nią) wymaga bowiem postawienia pytania nie tyle o kres zachodzenia tego procesu, ile o to, co dla nas staje się – na zasadzie odruchu bezwarunkowego – synonimem *swojskości*. Nie po raz pierwszy pomocne okazuje się tu typowe dla Niemców rozróżnienie ojczyzn: małej (Heimat) i dużej (Vaterland). Na tym tle Europa pojawia się zwykle na trzecim miejscu. I nie jest to przecież specyfika tylko Niemców. Dlatego za propagandowe pustostowie wypada uznać emfaticznie wypowiedaną zbitkę pojęciową: jestem Europejczykiem vel Europejką. Wzbudza to raczej politowanie aniżeli chęć do naśladownictwa, szczególnie jeśli zderzy to z pokazanymi na billboardach, jak w Polsce przed referendum akcesyjnym w czerwcu 2003 r., wizerunkami osób wykonujących - w coraz większym stopniu kosmopolityczne - zawody aktora czy polityka.

Dzieje Europy pokazują, że przyznawanie pierwszeństwa afiliacji europejskiej, kosztem narodowej czy regionalnej, stawało się możliwe rzadko i tylko w rezultacie pojawienia się konkretnych konfiguracji międzynarodowych. Podkreślanie europejskiej tożsamości nie okazywało się potrzebą bezwzględną, niezależną od okoliczności zewnętrznych, miało natomiast sens właśnie na tle jakiegoś otoczenia zewnętrznego, zwłaszcza wówczas, gdy odbierano je jako obce lub agresywne. Tylko bowiem branie pod uwagę kontekstu pozaeuropejskiego pozwalało na zaakcentowanie tak rozumianej wewnątrz europejskiej solidarności. Dlatego do werbalnego i czynnego demonstrowania jednolitej - pod względem zinternalizowanych wartości i podejmowanych działań - tożsamości europejskiej mogło dochodzić tylko czasowo, np. w okresie wypraw krzyżowych czy w niektórych fazach tworzenia antytureckiego obozu państw europejskich (też przecież kontestowanego choćby przez Francję), zwłaszcza u schyłku XVII stulecia.

W systemie różnorodnych wewnątrzkontynentalnych powiązań zdecydowanie częściej przeważały tendencje ku wzajemnie okazywanemu egoizmowi narodowemu, religijnemu czy etniczemu, co zwykle kończyło się podbojem jednych przez drugich, niekiedy eufemistycznie nazywanym integracją. Zdarza się, iż ten ostatni termin bywa nadużywany w dyskusji dotyczącej historycznych odpowiedników obecnego procesu polityczno-gospodarczej unifikacji Starego Kontynentu. Za nieadekwatne bowiem należy uznać występujące niekiedy traktowanie starożytnego Rzymu, imperium Karola Wielkiego czy Napoleona I Bonaparte jako historycznych przykładów procesów integracji, inaczej mówiąc - nazywanie ich punktami odniesienia do procesu obecnej integracji europejskiej. Bezdiskusyjnie stanowią one przykłady podboju, podczas gdy za *integrację expressis verbis można i należy uznać wyłącznie proces dobrowolnego scalania jakichś bytów w jedność*. W historycznej praktyce europejskiej tę ostatnią cechę posiadały, co najwyżej, niektóre struktury regionalne, rozumiane jako zbiory

⁴ Zob. C. Tilly, „Formowanie się państw narodowych w Europie Zachodniej” [w:] J. Szczupaczyński (red.), *Władza i społeczeństwo 2: Antologia tekstów z zakresu socjologii polityki*, Warszawa 1998.



państw czy miast, których czasowa egzystencja wynikała albo ze wspólnoty interesów handlowo-politycznych (Hanza), albo polityczno-dynastycznych (Unia Polski i Litwy).

Reasumując, w trwającej obecnie debacie na temat tożsamości europejskiej można dostrzec zbyt wiele przykładów przesadnej wiary w siłę sprawczą politycznego chciejstwa, dorabiania ideologii niezbornej z obiektywnie istniejącymi realiami społecznymi (zwłaszcza w sferze kultury), a nawet ukrywania rzeczywistych intencji polityczno-gospodarczych. Jeszcze raz wypada podkreślić, że występująca tu żonglerka słowna kończy się z chwilą rozpoczęcia dyskusji o ... kosztach i wydatkach. I taka też jest w istocie nasza Europa: raz zachłystująca się własnym entuzjazmem, którego wyrażanie nic przecież nie kosztuje, innym znów razem pełna sklepikarskiej chytryści, pardon, zapobiegliwości, gdy pojawia się konieczność kalkulacji zysków i strat. *Europa dwóch prędkości ... inaczej ?*